

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY POPRAWNOŚCI JĘZYKA POLSKIEGO

WYDAWANY POD REDAKCYĄ

ROMANA ZAWILIŃSKIEGO.

ROCZNIK VII.

W TARNOWIE MCMVII.
DRUKOWANO W KRAKOWIE W DRUKARNI UNIwersYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO.



TREŚĆ ROCZNIKA VII.

	Str.
I. Artykuły:	
1. Piotr Jaworek: Słownik Lindego (W setną rocznicę rozpoczęcia jego druku)	1
2. Kazimierz Nitsch: Z badań nad językiem polskim 4, 17, 54, 81, 138	138
3. Roman Zawiliński: Kto z nas mówi najlepiej?	33
4. Juliusz Grosse i K. Nitsch: »Pan« »ty« czy »wy«?	49
5. Ignacy Stein: O rodzaju, liczbie i przypadku rzeczowników	65
6. » O powstawaniu wyrazów	71
7. A. P.: Gdzie źródło złego?	105
8. Roman Zawiliński: Pokrewieństwo języków a ich wpływ wzajemny	121
II. Ankieta w sprawie nazwisk żeńskich (przez Dra L. Rydla, El. Orzeszkową, W. Przybórowskiego, Henryka Gallego, O. Balzera, Tadeusza Korzона, Wacława Gąsiorowskiego, A. Drogoszewskiego, And. Niemojewskiego, Ignacego Matuszewskiego, Ferd. Hoesicka, Bol. Koskowskiego, J. A. Święcickiego, W. Rappackiego, M. K., Dra Fr. Kręka)	
Wynik ankiety przez R. Zawilińskiego	86
III. Zapytania i odpowiedzi: 1—2, str. 27—29, 3—11, str. 38—41, 12—21, str. 61—64, 22—29, str. 94—97, 30—36, str. 116—118, 37—43, str. 129—131	
IV. Pokłosie (przez B. Dyakowskiego, Ol. Chomińskiego, I. Szczerbowski, O. N. Golichowskiego, B. Dy., Dra B. Trojanowskiego, Fr. Chojeckiego i A. Drogoszewskiego)	
	11, 78, 91, 109, 124, 141
V. Wyjaśnienia (przez Dra St. Ciechanowskiego, A. Kleczkowskiego)	
	13, 102
VI. Rostrząsania (przez A. Dr., Wl. Ol., T. T., K. Nitscha, W. Wittmana i Dra Jana Łosia)	
	29, 41, 118, 131
VII. Nowotwory przez Ks. Kanieckiego	
„ techniczne przez R. Zawilińskiego	98 142
VIII. W sprawie pisowni przez W. Kagena i Ign. Steina	
	100
IX. Skarbonka przez J. Rodzewicza	
	144
X. Rozmaitości:	
1. Jak się u nas tłumaczy? przez St. Dzikowskiego	14
2. Jeszcze w sprawie przyswajania imion własnych obcych, przez R. Zawilińskiego	44

IV

	Str.
3. Poradnik językowy dla Litwy, Rusi itd., przez R. Z.	47
4. Bocian — ks. Wojciechem, przez A. Kleczkowskiego	79
5. Konkurs na spolszczenie »willi«	103
6. »Willa« po polsku	119
7. Nowy język. — Czy używać »jaszczur«, »zaraz syb.«, »dżuma« .	137
XI. Nowe książki: K. Królińskiego: Pisownia polska	31, 135
XII. Sprostowanie przez Ks. Kanieckiego	119
Spis wyrazów i zwrotów objaśnionych w roczniku VII	145
Od Redakcyi	16, 32, 64, 104, 120, 136

PORADNIK JĘZYKOWY

Wychodzi na początku każdego miesiąca w objętości jednego arkusza.

Adres Redakcyi: Tarnów (w Galicyi).

Przedpłata roczna wynosi:
w Krakowie K. 2 hal. 50., z przesyłką pocztową K. 3; w Warszawie rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 80; w krajach należących do związku pocztowego franków 4.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą, a zwłaszcza ekspedycje główne: w Krakowie księgarnia G. Gebethnera i Sp. (Rynek główny 23); w Warszawie księgarnia E. Wendego i Spółki (Krak. Przedm. 9).

I. SŁOWNIK LINDEGO.

(W setną rocznicę rozpoczęcia jego druku).

Napisał

PIOTR JAWOREK.

Ten największą językowi robi przysługę, kto go w całej obszerności w jedno zebrawszy podaje potomności.
Linde, Wstęp do Słownika Polskiego I. 33.

Przed stu laty ukazał się w Warszawie pierwszy tom »Słownika języka polskiego«, opracowany i wydany przez M. Samuela Bogumiła Lindego. Dzieło olbrzymich rozmiarów, rzetelny powód do chluby autora a chwaty narodu, było na swój czas zjawiskiem w europejskim ruchu naukowym niezwykłym, wyjątkowym, nieoczekiwanym przez nikogo, a już najmniej przez budzący się dopiero do życia świat słowiański. Żeby człowiek z pochodzenia (nie z przekonania) więcej Niemiec niż Polak, urodzony i wychowany w zniemczonym Toruniu, w młodości mówiący po polsku z trudnością i nie wiele, wykształcony na lipskim uniwersytecie i sposobiący się do wykładu orientalistyki, mógł się zapalić do polszczyzny i tak dalece ją pokochać, że całe życie poświęcił na jej usługi — trudno się było komu spodziewać. A już zgoła nikt nie mógł przypuszczać, by ten sam człowiek dokonał rzeczy, które gdzieindziej w pomyślniejszych warunkach, jedynie dzięki zbiorowej pracy jednostek dochodziły do skutku. Mam tu na myśli wspomniany na samym początku »Słownik języka polskiego«. Jaką wartość posiada on dla nas dziś jeszcze, świadczy fakt, iż pomimo wieku całego nic nie zdołało zepchnąć go z wyżyny, na jakiej postawiła go wiedza i praca autora; boć wszystko, co się pojawiło na polu leksykografii naszej w w. XIX. i XX. jest tylko dopełnieniem lub sprostowaniem, nigdy zaś jego zastąpieniem.

Kiedy się Linde zabierał do gromadzenia materiałów do słownika (w Lipsku 1792/3), stał jako filolog na stanowisku wieku XVIII. Nie dopatrywał się, jak to zresztą czynili najświetniejsi badacze obcych narodowości, żadnego językowego pokrewieństwa między ludami, stanowiącymi t. zw. rodzinę indo-europejską, i co za tem idzie, odrębności tej rodziny od innych rodzin językowych. Sądził (również zgodnie z współczesnymi filologicznymi powagami), że wszystkie języki, jako dzieci jednego rodzica, muszą być mniej lub więcej do siebie podobne. Podobieństwo to zaś jest w prostym stosunku do wieku potomstwa. Zewnętrznym jego wyrazem jest ilość identycznych spółgłosek w temacie jakiegoś wyrazu. By zatem wykazać pokrewieństwo dwóch słów, wystarczyło, bez względu na pełne głoski (gdyż te analogicznie do języka hebrajskiego uważano za zmienne i nie przywiązywano do nich żadnego prawie znaczenia), dowieść istnienia równych spółgłosek. W ten sposób wolno było jako pokrewne zestawiać ze sobą wyrazy z jęz. hebrajskiego, arabskiego, węgierskiego, łacińskiego, niemieckiego, polskiego i t. d., byle się tylko spółgłoski zgadzały na odpowiednich miejscach (oczywiście w temacie).

Z takiego poglądu na etymologię wychodząc, przystąpił Linde do budowy swego słownika. Materiał zgromadził bardzo obfity. Przeczytał wszystkie książki, jakie mu tylko wpadły do rąk i ze wszystkich porobił potrzebne wypisy. Zaczął od pisarzy wieku XVI. a skończył na XVIII. Przy lekturze nie ograniczał się tylko do klasyków: Kochanowskiego, Górnickiego, Skargi, Wujka i t. d., lecz wychodząc z założenia, że słownik powinien obejmować wszystkie słowa język składające, czerpał materiał i z autorów podrzędnych, z kalendarzy, kantyczek, przysłów i t. p. Korzystał również i z mowy potocznej: zaglądał do warsztatów i pracowni i wydobył stamtąd mnóstwo nazw kunsztów i rzemiosł. Gdy zbiór był już gotowy, uporządkował go alfabetycznie i ułożył w ten sposób: na czoło wysunął wyraz zasadniczy, przeznaczony do objaśnienia; tuż po nim umieścił polskie wyłuszczenie znaczenia i niemieckie tłumaczenie wyrazu zasadniczego; następnie odpowiedniki z języków i dialektów słowiańskich, a przy niektórych wyrazach domniemane odpowiedniki z jęz. hebrajskiego, etyopskiego, arabskiego, węgierskiego, łacińskiego, greckiego i t. d. W końcu umieścił cytaty z pisarzy polskich, wykazujące zmianę znaczenia, dokonaną w przeciągu trzechwiekowego rozwoju. Tak objaśniony wyraz zasadniczy, pojedynczy, przystępował do wytłumaczenia innych od niego pochodzących, złożonych.

Ta okoliczność, że Linde ukazuje wyraz objaśniany najpierw w barwnych szatach naszych pobratymców, a następnie w różnych

fazach znaczeń na gruncie ojczystym, nadała słownikowi jego charakter podwójny: historyczny, odnośnie do języka polskiego, porównawczy wszechsłowiański, odnośnie do innych języków i dialektów słowiańskich. Dowodzi ważności i doniosłości pierwszej z tych cech byłoby zbyt. Natomiast warto nadmienić, jakie nadzieje i praktyczne cele łączy Linde z zestawieniem polszczyzny ze słowiańszczyzną. Myli się on i rozpląwa w marzeniach i utopiach twierdząc, że języki słowiańskie można tak dalece zbliżyć do siebie, żeby je powszechnie zrozumiano; że przez stworzenie gramatyki ogólnosłowiańskiej zbuduje się także i powszechny język słowiański. Przykład Włoch, gdzie »każda prawie kraina gada innym dialektem«, a »od czasów Danta uformował się jeden włoski język piśmienny«, nie wytrzymuje krytyki. Ale za to zupełną słuszność ma, gdy powiada, że zestawianie języków pobratymców z polszczyzną nieraz mu się przysłużyło do objaśnienia tej ostatniej tak co do znaczenia pojedynczego słowa, »jako też co do sposobu wywodu bądź znaczenia jego, bądź znaczeń słów od niego pochodzących«. Również przyklasnąć mu tylko możemy, gdy radzi czerpać z języków słowiańskich to, czego nam niedostaje. «Chociaż język nasz polski — czytamy we wstępie do słownika str. XI. w. 32 — co do obfitości i poloru zapewne żadnemu ze słowiańskich, a podobno i z innych nie ustępuje: atoli takowe zbliżanie do siebie dialektów pobratymczych może być jednym z najdogodniejszych źródeł, z których czerpaćby można, na czem schodzi mu jeszcze, bo któryż to język jest tak bogaty, tak dokładny i doskonały, żeby mu tu i ówdzie czegoś w tem nie brakowało, czem zaszczycają się inne? W Słowiańszczyźnie osobliwie, czego jednej mowie niedostaje, tem druga celuje. Azaliż więc nie przyzwoliciej nam przyswoić pokrewne i pobratymcze słowa, niżeli nadstawiać łaciną, niemczyzną, francuzczyzną, włosczyzną?»

Dwa cele: językowe zbliżenie się do reszty Słowian i poznanie ich kultury przyświecały Lindemu w chwilach, kiedy mozolnie trudził się nad wyszukaniem wyrazów słowiańskich odpowiednich polskimi i wcielał je do swego słownika.

A teraz na zakończenie tego, co się powyżej powiedziało: jeżeli z oddalenia stulecia spojrzymy na dzieło Lindego, jakże nam się przedstawi? Oto jako olbrzymi skarbiec, za wierający w sobie polszczyznę trzech wieków (1550—1800). Prawda, że skarbiec ten nie chowa wszystkich słów i dźwięków naszej mowy, brakuje w nim języka z doby najstarszej i najnowszej (nie wspominając już o tem, iż wiele druków i wszystkie rękopisy od w. XVI—XVIII były twórcy słownika niedostępne), prawda wreszcie i to, że są także usterki drobniejsze np. szereg wyrazów zupełnie nieobjaśnionych,

albo objaśnionych błędnie, (nieliczne) imiona własne podane jako pospolite, powtórzone za oryginałami błędy drukarskie i t. p., ale cóż to wszystko znaczy wobec ogromu pracy, jakiej Linde dokonał? co wobec królewskiego podarunku, jaki narodowi złożył w dani? Dar tak hojny wymaga z naszej strony trwałej wdzięczności, tudzież starania, aby się spełniły pragnienia męża, który życzył sobie, by słownik jego stał się »pierwszą przyczyną i zasadą doskonalszego zbioru i rozbioru języka naszego i pobratymczych, a może i nie bez wpływu na ogólną naukę zgłębiania mowy ludzkiej«.

II. Z BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

Celem niniejszego działu »Poradnika« ma być zaznajamianie jego czytelników z ruchem naukowym na polu językoznawstwa, o ile on się odnosi do języka polskiego lub zajmuje się kwestyami ogólnymi, ważnymi dla każdej mowy, a więc i dla polskiej. »Poradnik« i dotąd nieraz oczywiście zapuszczał się w tę dziedzinę, ale czynił to tylko przygodnie, o ile nasunęła się sprawa, głębszego wymagająca objaśnienia; z niniejszym numerem wprowadza przegląd badań naukowych jako dział osobny. O użyteczności jego, a nawet konieczności, słów kilka.

Sześćoletnie istnienie pisma stwierdziło potrzebę organu, ułatwiającego ogółowi orientację w kwestyach językowych, wykazało, że wielu ludzi, nie rozumiejąc dobrze pozornego chaosu w tem morzu faktów, a nie mogąc istnieć poza niem, pragnie zdać sobie sprawę z tej różnorodności, wprowadzić do niej ład jakiś. Jest to oczywiście jeden tylko przypadek ogólnej dążności umysłu ludzkiego do zapanowania nad światem zjawisk przez ujęcie ich w pewne prawa, przez znalezienie w ustawicznej zmienności pierwiastków stałych, niezmiennych. Wiadomo, że pierwsze takie próby ujęcia w system różnorodnych otaczających nas faktów miały i mają przede wszystkim cel praktyczny: ułatwienie, umożliwienie wprost życia. Cel teoretyczny, naukowy zjawia się później: ślady jego można zauważyć już w epokach pierwotnych, bo dążność do jednolitego poglądu bez względu na praktyczne korzyści jest bądź co bądź zasadniczą właściwością umysłu ludzkiego; naogół jednak można przyjąć, że te bezinteresowne zamiłowania rosną w miarę rozwoju cywilizacji, że są jedną z najistotniejszych cech, wyróżniających człowieka od zwierzęcia, ludzi cywilizowanych od dzikich. Mimo to i o dzisiejszem społeczeń-

stwie powiedzieć można, że tej bardzo ważnej prawdy nawet jego warstwa wykształcona przeważnie nie rozumie i gardzi naukami »nieproduktywnymi«, wiedzą czystą. Warto jednak chyba, by obok hasła »sztuka dla sztuki« stało drugie »nauka dla nauki«; zdaje mi się, że przyczyniłoby się ono nie mniej od tamtego do podniesienia naszej kultury duchowej, a wolne byłoby od wielu jego słabych stron. Prawda, obok kabotynów sztuki możnaby postawić maniaków naukowych, matomanów, których i dzisiaj nie brak. Wiadomi są »uczeni«, nie wierzący w system Kopernika, uważający słońce za odbicie jakiegoś światła w zwierciadle kopuły niebieskiej lub ziemię za żywą istotę, na której skórze jesteśmy pasorzytami. Podobne przykłady matomanii wcale nierzadkie są i w dziedzinie językoznawstwa: i »Poradnik« miał z nimi do czynienia i poza nim możnaby je znaleźć nawet w rzekomo poważnej i chwalonej przez rzekomych znawców literaturze. Mimo to godzi się przypuścić, że w nauce, a więc i w językoznawstwie, o ile się je uważa za naukę ścisłą i nie traktuje się go wyłącznie z punktu widzenia literackiego, objawy takiej patologii umysłowej będą znacznie rzadsze niż w sztuce, tak z natury przedmiotu, wymagającego pewnej sumy wiadomości pozytywnych, jak i ze względu na małą popularność, która nawet w najpomyślniejszych warunkach z tamtą nigdy mierzyć się nie będzie mogła.

Stosując uwagi te do spraw językowych, widzimy również, że ogromna większość interesującego się nimi ogółu stoi wyłącznie jeszcze na gruncie praktycznym, na gruncie t. zw. »poprawności językowej«. Stąd niejednokrotne niezadowolone w odpowiedzi redakcyi »Poradnika«; oczywiście mówię tu tylko o tych niezadowolonych, którzy objawiają ten swój stan mniej więcej słowami: »wyjaśniono mi, jak dana forma powstała, pokazano mi, jakie przechodziła koleje, jakim dziś jeszcze ulega wahaniom, ale cóż z tego, skoro i nadal nie wiem, jak właściwie mówić należy«. Otóż jedynym sposobem usunięcia, a przynajmniej zmniejszenia takich nieporozumień jest podniesienie wśród czytelników pisma poziomu wykształcenia językowego, a więc rozbudzenie zamiłowania do teoretycznych zagadnień językowych, zaznajamianie, o ile to jest możliwe, z ruchem naukowym na tem polu. Co do niepopularności zaś czystego, nie stosowanego językoznawstwa, chciałbym uczynić pewne jeszcze uwagi.

Ciekawą jest mianowicie pozorna sprzeczność, zachodząca między wielkiem bądź co bądź interesowaniem się sprawą »poprawności« języka, a nadzwyczaj małą popularnością językoznawstwa jako nauki. O poprawności wydaje sądy wprost każdy, tak dalece, że wypowiedziane przez Stańczyka w w. XVI. zdanie, iż najwięcej jest lekarzy,

możnaby bez przesady zastosować dziś do lekarzy językowych. Fakt ten daje powód do kilku spostrzeżeń: przedewszystkiem stwierdza on wyraźnie tę prawdę, że mowa jest zjawiskiem na wskrós społecznem, nie indywidualnem, skoro rażą nas u innych zjawiska z naszymi niezgodne, podobnie jak przeciwnie przekonania społeczne, choćby nawet jedne ani drugie nie nam nie szkodziły. Podobieństwo idzie dalej: szczególnie w tych działach (bez porównania częściej niż n. p. w naukach przyrodniczych lub nawet w stosującej je medycynie) skłonni są do nieomylnych wyroków ludzie, którzy przedmiotu nigdy nie studyowali. Przychodzi im to bardzo łatwo: każdy przecież żyje w społeczeństwie i każdy umie mówić, ma więc podstawkiem faktów do dyskusyi, oczywiście faktów z najbliższego otoczenia, na podstawie których bez głębszej i szerszej znajomości przedmiotu można wydawać sądy; jaka jest ich wartość, to rzecz inna. Bardzo mało kto zdaje sobie sprawę, że najdrobniejszy fakt zależny jest od nieskończonej nieraz ilości przyczyn, że nawet o jasnej na pozór drobnostce nie można często wydać trafnego sądu bez znajomości wielu innych szczegółów i, co ważniejsza, jeżeli się na ich podstawie nie doszło do zrozumienia praw ogólnych, działających w danym zakresie zjawisk.

Ale dlaczego tak niezwykle małe jest zainteresowanie się językoznawstwem jako nauką? Przyczyny są, zdaje się, dwie. Pierwsza, ogólna, wynika zapewne po części z jego niepraktyczności, ale także z właściwej mu metody badania, zarówno bowiem nie przynoszą namacalnych korzyści astronomia lub wiele działów biologii. Ale one zaciekawiają zewnętrznem rozszerzaniem kręgu widzenia: niezmiernie obszary świata lub odkrywanie światów w prozku — pociąga wyobraźnię i sprawia przyjemność nawet umysłom niedążącym do ścisłego ujęcia rzeczy; natomiast obserwowanie faktów na pozór codziennych, na pozór spostrzeganych przez każdego, dokonywane bez żadnych przyrządów (które nieraz już same przez się interesują) nie ma uroku nowości. Co się zaś tyczy właściwej pracy naukowej, dokonywanej w umyśle ludzkim, to ta obca jest zwykle tak chcącym się poinformować o kwestyach przyrodniczych jak i językowych. Sądzę nawet, że znaczniejsza ilość naukowych pracowników w tamtych dziedzinach (mówię ciągle o naukach bez widocznych zastosowań praktycznych) pochodzi z tejże przyczyny: w ogromnej większości wypadków ludzi tych zainteresowała najpierw zewnętrzna strona faktów lub sposobów badania; brak tych zaciekawiających pozorów utrudnia już samo zebranie się większej ilości adeptów, z których przecież niektórzy tylko naprawdę potem nauką się zajmują. — Ale jest i druga przyczyna tej małej popularności. Nie leży

ona już w istocie przedmiotu, jest raczej natury historycznej. Językoznawstwo, jak wiadomo, powstało z filologii, filologowie zaś, a przynajmniej część ich, słusznie czy niesłusznie, stracili mir w szerokich kołach klas wykształconych. Stąd też niepopularność lingwistyki, choć właściwie między temi naukami nie zachodzi żaden istotny związek. Szczegółowe omówienie różnicy między niemi wychodziłoby poza ramy tej wstępnej pogadanki, zaznaczę więc tylko, że filologia zajmowała się i zajmuje językiem tylko jako nauką pomocniczą do swoich celów, powtóre zaś, że zna ona i uznaje tylko te fakty językowe, które uwieczniono pismem. Stąd obca jest zjawiskom tym, rozważanym samym dla siebie: istota ich psychologiczno-społeczna jest jej obojętna; że zaś nawet przy wyciąganiu z języka wniosków dotyczących się kultury uwzględnia prawie wyłącznie język pisany, przeto zna go tylko w odbiciu, w którym wiele jego cech istotnych uległo zatarciu; stosując wreszcie do zjawisk językowych tę ścisłość, która jest jej wielką (w porównaniu z innymi naukami humanistycznymi) zaletą, zamienia nieraz mimo woli tę zaletę w wadę, rozważając jako całość tę drobną ilość faktów, które przypadkowo zapisano. Stąd też i metoda inna: filolog najchętniej czerpie język z dawnych ksiąg, rękopisów i inskrypcji, językoznawca zaś przede wszystkim bada mowę żywą, a jeżeli posługuje się często zapisaną, to raczej z konieczności i nie przywiązując do niej bezwzględnej wagi. W oświeceniu filologów język jest jednym ze środków sztuki, literatury, rozważają go też nieraz pod względem estetycznym, gdy językoznawca jako uczony ścisły (bliższy naukom przyrodniczym niż literackim) szuka praw nim rządzących, przyczem posługuje się nawet naukami przyrodniczymi, mianowicie psychologią i fizjologią głosu. — Do wyjaśnienia i zrozumienia istoty zjawisk mowy przyczynia się prawie wyłącznie językoznawstwo, o takich też pracach niniejszy dział pisma przede wszystkim będzie informował. Że jednak filologiczne badanie języka nie ustaje, a u nas ma nawet wybitnych w swoim rodzaju przedstawicieli, przeto, jakkolwiek nie jestem filologiem, nie mogę zupełnie usunąć go z działu, omawiającego badania nad językiem polskim.

Wreszcie słów kilka o sposobie zapoznawania czytelników z pracami naukowymi. Zaznaczyć muszę z góry, że inaczej się na tę sprawę zapatruję, niż p. St. Dobrzycki, który na wstępie zamierzonych, ale rozpoczętych tylko artykułów p. t. »Zdobycze językoznawstwa polskiego« pisze (Poradnik, IV. 29): »nasz przegląd zawierać będzie przede wszystkim to, co może zajmować szersze koła; podawać będzie tylko wyniki, w samą »mechanikę« nauki nie wnikając. Ma on być tylko »konduktorem« przede wszystkim pomiędzy tajemniczym areopagiem uczonych a czytelnikami Poradnika«. Otóż zga-

dzając się z p. D., że »nie wszystko, co dla językoznawcy przedstawia wartość, będzie interesujące dla zwykłego śmiertelnika«, pozwolę sobie jednak być zdania, że podawanie samych tylko wymików badań wykształconemu ogółowi żadnej istotnej nie przyniesie korzyści. Wogóle sędzę, że tego rodzaju popularyzowanie, tak bardzo u nas rozpowszechnione, nie tylko nie jest pożyteczne, ale czasem nawet szkodliwe: gotowe rezultaty zwiększają tylko i tak zbyt wielką często u nas ilość luźnej, nieproduktywnej erudycji, a do prawdziwego rozwoju umysłu, w danym razie do zrozumienia istoty zjawisk językowych, o co chyba najwięcej tu idzie, bardzo a bardzo mało się przyczyniają. Jeżeli przy badaniach filozoficznych, przy budowaniu poglądów syntetycznych wymaga się, by syntetyk znał z własnych studyów jedną przynajmniej z tych nauk, których wyniki łączy w jedną całość, to również mamy prawo żądać od wyrokujących o języku, od tych niezliczonych »lekarzy językowych«, by mieli pewne pojęcie nie o samych tylko rezultatach, bo jeżeli w »mechanikę« nauki ani trochę, w żadnym dziale ani w żadnej kwestyi nie wnikną, to same gotowe rezultaty będą dla nich zupełnie martwe. Nie chcę należeć do »tajemniczego areopagu uczonych«, do jakiejś zamkniętej kasty; przeciwnie, chciałbym na niejednym łatwiejszym przykładzie pokazać, w jaki sposób dochodzi się do wniosków, do ujmowania praw szczegółowych czy ogólnych, a wtedy może i szersza publiczność naprawdę zacieka się do badań językowych i spróbuje czasem samodzielnie nad tą grupą zjawisk pomyśleć. Tu pozwolę sobie powtórzyć życzenie, wypowiedziane przez prof. Brücknera we wstępie do jego »Dziejów języka polskiego«: »pragnąłbym, aby kto z mego wykładu zechce korzystać, mógł jakiś sąd sobie wyrobić o najpospolitszych przynajmniej zjawiskach językowych, żeby nie szedł na lep byle formułki czy powagi«; a dalej: »nadzieja, że mi się zdarzy rozpowszechnić nieco pojęć uzasadnionych o naszym języku... przyświecała mi przy podjęciu tego trudu; bez trudu jednak i cierpliwości nie obejdzie się i czytelnik, chociaż usilnie się starałem, by mu ułatwić śledzenie wywodów moich«. Pominąwszy tę różnicę, że jako językoznawca w ścisłym słowa znaczeniu, nie filolog czy historyk języka, chciałbym rozpowszechniać nie tyle »pojęcia o naszym języku« ile o zjawiskach językowych wogóle, choć z natury rzeczy przykłady czerpać będę prawie wyłącznie z polszczyzny — w moim skromnym zakresie kierownika jednego działu w piśmie popularnym te same mam ambicje. Zwłaszcza zaznaczam, że zupełnie bez trudu czytelnik się nie obejdzie (choć będę się starał trudności tych unikać), ale nie sędzę, by czytelnicy »Poradnika« jedynie gotowej rady pragnęli; przekonany jestem,

że przynajmniej pewnej ich części idzie raczej o pobudkę i wskazówkę do dalszego samodzielnego rozważania.

Wypowiedzenie kilku uwag natury ogólnej uważałem za niezbędne przy obejmowaniu osobnego działu pisma: jedyny to sposób uniknięcia znaczniejszych nieporozumień. W następnym artykule zajmę się już zagadnieniem szczegółowem. *Kazimierz Nitsch.*

III. W SPRAWIE NAZWISK ŻEŃSKICH.

Rozesłaliśmy do pisarzy i publicystów polskich listy tej treści:

Z pośród spraw językowych, które w dobiegającym roku zajmowały czytelników »Poradnika«, sprawa tworzenia nazwisk żeńskich (żon i córek) z męskich rzeczownikowych napotkała na rozmaite tłumaczenia, a nie brakło i głosu, uważającego dodawanie końcówek *-ówna* i *-anka* do nazwiska męskiego dla oznaczenia córki niezamężnej po prostu za niedelikatność. Takie względy mają stać wyżej ponad tradycję i gramatyczne prawidła...

Pragniemy poznać zdanie nie tych, co o języku piszą, ale tych, co język tworzą — naszych pisarzy i publicystów; zwracamy się tedy do Wnego Pana z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie i odpowiedź na pytania następujące:

1. Czy godzi się z naturą języka polskiego oznaczanie kobiet nazwiskami męskimi jak *Marya Schneider*, *Helena Puppenspiel*, *Otylia Czerny*, a nawet *Zofia Dunin*?

2. Czy używanie przyrostków *-ówna*, *-anka* należy ograniczyć do niektórych tylko nazwisk?

3. Czy takie skostnienie nazwisk nie pociągnie za sobą niezmienności nazw na *-ski*, *-cki* np. *Monika Krowicki*, *Helena Ślaski*.

O łaskawe nadesłanie odpowiedzi prosi uprzejmie

Redaktor.

Jeszcze przed rozesłaniem kwestyonaryusza otrzymaliśmy w tej sprawie list od Dra L. Rydla, który jako początek »ankiety« umieszczamy w całości:

(1.) Nie pojmuję, jak wogóle można o tem rozprawiać! Historia, logika i psychologia polszczyzny zgodnie każą zmienić zakończenie, zarzucanie zmiany jest niedorzecznym ubożeniem języka, pozbawianiem go jasności i ścisłości. Otrzymałem niedawno list od kogoś obojętnie mi nieznanego, podpisany »M. Skórkiewicz«; odpisałem tedy panu Skórkiewiczowi pod wskazanym w liście adresem i to odwrotnie,

bo sprawa była pilna i ważna. List nie doszedł, gdyż... Skórkiewiczza na świecie nie było, list zaś pisała panna Skórkiewiczówna, która nowomodnem a niedorzecznem obcięciem końcówki żeńskiej spowodowała nieporozumienie i sama sobie przypisać musiała szkodę, wynikłą z niedoręczenia listu. Dla objaśnienia dodam, że przypadkowo złożyło się tak, iż w krótkim liście panny S. nie było żadnego czasownika, ani przymiotnika w formie żeńskiej, skutkiem czego pomyłka z mojej strony była nie do uniknięcia. W następnym liście był już podpis z końcówką żeńską. Zmądrzała po szkodzie! Ile podobnych, zupełnie niepożądanych pomyłek w życiu towarzyskiem dzieć się będzie, jeśli nasze panie pójdą za tym niedorzecznym nowym prądem, tego domyśleć się łatwo; będziemy chyba musieli nieodzwrotnie dodawać zawsze »pan«, »pani« czy »panna«, by uniknąć nieporozumień. Ciekawe te nowe mody językowe! Jedne błędy językowe popełnia się, uznając nawet ich wadliwość, ale w miarę »krótkości i wygody« gwałci się języka polskiego prawa i logikę — tu znowu krótkie i zwięzłe, jasne określenie ruguje się z języka i doprowadza się do długich a dziś jeszcze zbyt licznych określeń (= pan, pani, panna). Bywając w Czechach, widziałem nieporozumienia, spowodowane tożsamością końcówki żeńskiej *-ova* dla oznaczenia matki i córki, zwłaszcza gdy obie nosiły to samo imię. Wówczas dla objaśnienia dodawano nawet w rozmowie »córka«, »matka«. Z dumą myślałem wówczas, że polszczyzna ma tak piękne i logiczne odróżnienia w samej końcówce i tę wygodę i zwięzłość, wynikającą z bogactwa; — teraz mówi się już jako o rzeczy niemal nieuniknionej o wyrugowaniu z języka tej właściwości jego tak pięknej, rozumnej i dogodnej! Dlaczego? bo się tego zachciewa kilku tysiącom maniaczek i sawantek?!

Miliony ludu polskiego zachowują tę różnicę i zachowywać ją będą, bo im się w głowie nie przewróciło. Więc jeżeli stosować przysłowie łacińskie: »Nec Hercules contra plures«, to już nie do tych, którzy są ogromną większością, ale raczej do tych nielicznych nowatorek, które się powinny poddać większości narodu — a zarazem logice i prawom języka. I poddadzą się, przynajmniej w Galicyi poddaćby się musiały bardzo prędko, gdyby Rada szkolna krajowa wejrzała w niesłychane dziwactwo stale używane w żeńskich szkołach: za przykładem, a często i z wolą nauczycielek, uczennice odrzucają końcówkę żeńską nazwiska na tytułowej karcie zeszytów; szkoła wydaje czasem świadectwa z nazwiskami taksamo poprzekręcanemi na modłę męską, a dalszy skutek? — Oto rozmowa panienek w szkole na pauzie:

— Dałaś jabłko Pobudkiewicz?

— Dałam, ale zjeść nie chciała, rzuciła niem i trafiła w głowę Morozowicz. Z pewnością Morozowicz poskarży się na Pobudkiewicz przed Lenartowicz (nazwisko nauczycielki).

Uszy wędzną! To jest język Papuasek a nie Polek!

Jedno rozporządzenie Rady szkolnej urwałoby łeb tej hydrze bezsensu. Na tej drodze znajdziemy tam, gdzie sobie tego życzą wszyscy pocztowi hakatyści. Wszak o tę biedną końcówkę żeńską w nazwiskach toczy się w jednej dzielnicy Polski walka zażarta, a w drugiej dzielnicy odrzuca się ją bez żadnej rozumnej potrzeby, dla kobiecego kaprysu, jak niepotrzebny dodatek. Czy przez to chcemy iść na rękę kelnerom i portyerom zagranicznych hotelów, którzy nie mogą się połapać w odmianie rodzajowej nazwisk polskich? Czy dla nich, dla ich przyjemności kaleczymy język? Bo chyba innej logicznej przyczyny nikt mi nie wykaże. Postarać się przedewszystkiem trzeba o należyty przepis, wydany jak najrychlej przez Radę szkolną krajową, a złe da się jeszcze stłumić w zarodku.

Dr. Lucyan Rydel.

IV. POKŁOSIE.

1. Seignette. *Zwierzęta epok ubiegłych*. Przełożył Jan Lewiński (Warszawa 1904).

1) W przekładzie tym bardzo pospolity jest niemiecki układ zdań z orzeczeniami na końcu i przymiotnikami, nie stojącymi obok rzeczowników, jak np.:

»Mamut zaś, również do rodzaju słoni *zaliczony*, był raczej do słonia indyjskiego *podobny*« (str. 93).

»Oczywiście, zwierzęta te z niżej uorganizowanych, z prościej zbudowanych powstać i rozwinąć się *musiały*« (str. 13).

»Utwory mezozoiczne żadnych nawet śladów tych zwierząt nie *zawierają*« (str. 14).

»które obecnie zatokę Perską *zamieszkują*« (str. 18).

»belemnity mianem strzałek piorunowych są *obdarzane*« (str. 46).

»formy do współczesnych jeźów i gwiazd morskich *podobne*« (str. 16).

»im *liczniej* są one pokryte guzkami« itp. (str. 108).

2) Pomieszanie »jaki« i »który«:

»rozpoznawanie postaci przejściowych, *jakie* (zam. które) łączą« (str. 2).

»pośród rozlicznych utworów, *jakie* (które) pokrywają osady paleozoiczne« (str. 10).

3) Użycie *swój* bez potrzeby, jak w języku niemieckim:

»Członki tych zwierząt przypominają *swą* (zbyteczne) budowę« (str. 82).

4) Orzecznik przymiotny w 6 przyp. zamiast w 1:

»większość ptaków trzeciorzędowych jest bardzo *zblizoną* do dzisiejszych« (str. 89).

5) *Mierzyć* w znaczeniu »mieć taką a taką długość« (germanizm):

»Niektóre owady *mierzyły do 75 centymetrów*« (str. 29).

»16 *metrów mierzący*« (str. 58).

»Paleodon *mierzył metr wysokości*« (str. 76) itp.

6) »Być w stanie« zamiast »módz«:

»*Nie bylibyśmy w stanie* pojąć« (str. 110).

7) »Ócz« zamiast »oczuc« lub »oczów«:

»Głowa o parze *ócz*« (str. 46).

8) Od *przekonywać* i *porównywać* użyte są formy: »przekonywujemy się« str. 110 (zam. »przekonywamy się«) i »porównywując« str. 116 i 121 (zam. »porównywając«).

2. Haeckel. *Walka o teorię rozwoju*. Spolszczył H. J. Rygier (Warszawa 1906).

Styl przekładu wogóle dobry, szyk wyrazów w zdaniu polski; ani razu nie zdarzyło mi się zauważyć słynnego »pojedyńczy«, tak pospolitego nietylko w przekładach, ale i w oryginalnych pracach. Godzi się jednakże wytknąć następujące błędne zwroty lub wyrazy:

1) Orzecznik przymiotny bardzo często stoi w 6 przypadku:

»jak *doniosłą* jest sprawa« (str. 7); »teoria ta została *zapomnianą*« (str. 20); »była *cenioną*« (str. 26); »wola nigdy nie jest *wolną*« (str. 87); »*podnoszonem* bywa bałamutne twierdzenie« (str. 62) itp. prawie stale i wszędzie.

2) Zła forma orzeczenia przy podmiocie z »wiele«:

»Wiele z mych wywodów *zostały pomieszane* lub *mylnie pojęte* (zam. zostało pomieszanych lub mylnie pojętych)« str. 71.

3) Niewłaściwe użycie »ich« zamiast »swoją«:

»Piękne skorupki radyolaryi interesują nas nietylko ze względu na *ich* (zam. swoją) geometryczną prawidłowość« (str. 77).

4) Germanizmy, rusycyzmy itp.:

»Wyświetlić *publice*« (zam. publiczności) str. 7; »*przyjmovalem udział*« (brałem udział, uczestniczyłem) str. 9; »*w zakończeniu* poczuwam się« (kończąc) str. 10; »wielki *naturfilozof*« (str. 19); »młodsze pokolenie *nie jest w stanie* (nie może, nie zdoła) wystawić sobie«

(str. 27); »nikt *nie jest w stanie* ocenić« (str. 46 i w kilku innych miejscach); »wstępuję w *kontakt*« (w zetknięcie) str. 31; »postępowe organy *wypowiedziały się* (oświadczyły się) za potępieniem tych zasad« (str. 49); »różnice *spowodowane* (wywołane) przez rozmaitą działalność« (str. 59); »*opublikował* (ogłosił) dzieło« (str. 74); »poszukiwania *zapoczątkowane*« (zaczęte) str. 80. B. Dyakowski.

V. WYJAŚNIENIA.

Do »sprawy przyswajania imion własnych obcych«, poruszonej w Nr. 12 »Poradnika« z r. 1906, ośmielam się dodać następujące wyjaśnienie:

Na IX. Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w r. 1900. utworzono na mój wniosek sekcję prasy lekarskiej, złożoną z delegatów czasopism lekarskich polskich (po 2 z każdej redakcyi). Przez taką ścisłą organizację tej sekcji zmierzaliśmy do tego, aby jej uchwały miały moc obowiązującą i nie pozostały papierowemi rezolucjami, lecz były przez redakcyę polskich pism lekarskich rzeczywiście wykonane.

Ze spraw, należących do tego pola działania, na którym pracuje »Poradnik językowy«, umieściłem w programie sekcji tej trzy: 1) sprawę ujednostajnienia pisowni, 2) sprawę ujednostajnienia mianownictwa lekarskiego polskiego, 3) sprawę unikania błędów językowych — we wszystkich naszych pismach lekarskich. Sprawy te referował Dr. St. Markiewicz z Warszawy. Z nich druga nie mogła być załatwioną po naszej myśli, bo nasz nowy »słownik lekarski«, mający być wytyczną dla naszych czasopism, nie był jeszcze ukończony; trzecia — nie dała się ująć w formę wiążącej wszystkich uchwały, ale rozprawy nad nią nie pozostały bez praktycznych skutków; natomiast w pierwszej z tych spraw uchwalila sekcya »aby wszystkie pisma lekarskie polskie trzymały się pisowni, zalecanej przez Akademię Umiejętności« (Dziennik IX. Zjazdu, str. 185).

Trzeba przyznać, że uchwała ta znalazła wielki posłuch. I tu muszę wziąć w obronę »Gazetę lekarską«, która tak samo, jak wszystkie inne nasze lekarskie czasopisma, przestrzegała od r. 1900. ściśle przepisów Akademii, — z jedynym wyjątkiem, tym właśnie, który poruszył »Poradnik«.

Ale i pod tym względem zasługuje na uwagę ta okoliczność,

że nie sama tylko »Gazeta lekarska« uporczywie używała znaczka (') w nazwiskach autorów obcych (nietylko francuskich, lecz i niemieckich) i nie ona sama trzymała się odmiany: Bandel — Bandel'a, Fränkel — Fränkel'a i t. p. Jestto obyczaj, podzielany przez większość, jeżeli nie przez wszystkie pisma i dzieła lekarskie, wydawane w Warszawie, którego do tego stopnia niepodobna wykorzenić, że i w naszym »Przeglądzie lekarskim« muszę, jako redaktor, nieraz ciężkie walki staczać z autorami z Warszawy, drukującymi swe prace w »Przeglądzie lekarskim«, o ten znaczek (') i odmianę Bandlów, Fränklów i t. d. Po usunięciu niepotrzebnych znaczków ' wraca nieraz z Warszawy ostatnia, autorom przesyłana korekta, znowu z przywróconymi ulubionymi znaczkami ' i muszę je dopiero z wielką biedą wyławiać w ostatniej chwili przy rewizji numeru, już leżącego na maszynie.

Z tego względu zdaje mi się, że »Gazeta lekarska« jest wytłomaczoną. Jeżeli jest jaka wina, to chyba ta, że nietylko »Gazeta«, ale i inne pisma lekarskie warszawskie i wydawcy dzieł lek. w Warszawie, nie umieją się wyłamać z jarzma tego »provincjonalizmu«*), jakim w tym razie jest ów znaczek '.

Prof. Dr. Stanisław Ciechanowski.

VI. JAK SIĘ U NAS TŁUMAGZY?

W »Kurjerze Lwowskim« z 25. listopada rb. nr. 322, pt. »Jak tańczyła u nas Pippa« czytamy, co następuje:

Niejednemu może z dysputujących na temat problemów dramatu Hauptmanna »A Pippa tańczy« nie przyszło na myśl pytanie, jak polskie tłumaczenie, dokonane z upoważnienia autora przez p. Artura Schrödera, oddaje niemiecki oryginał. Niejeden też zapewne najrozmaitsze nonsensy, którymi karmiono jego uszy podczas przedstawienia, policzył na karb niejasności całej »baśni dramatycznej«. Przewrotność literacka kazała mi zestawić oryginał z tłumaczeniem; dokonując tego, nie mogłem się dość nadziwić, w jak barbarzyński sposób spełniono tak odpowiedzialnie zadanie, jakim jest przyswajanie dzieł obcej literatury dla naszego ogółu.

Zaznaczam, że z całego szeregu błędów, przekręceń i niezręczności w tłumaczeniu polskim przytaczam część tylko najjaskrawszych, gdyż na wyliczenie wszystkich nie stałoby ani miejsca, ani czasu. I tak na str. 17. brzmi tekst oryginału: »Der alte Huhn nimmt

*) Zródłem jego jest (być może nieświadomiony) wpływ piśmiennictwa rosyjskiego.

das Glas und stürzt es ohne Umstände hinunter« (dosłownie: stary Huhn bierze szklankę i *wychyla ją* bez ceremonji), tłumaczenie zaś brzmi (str. 12): »stary Huhn bierze szklankę i bez ceremonji *ciska ją o ziemię*«. Skutkiem tego słowa poprzedzające i następujące tracą najzupełniej związek, jaki istnieje między nimi a wychyleniem przez Huhna całej szklanki gorącego grogu.

Na str. 27. w tekście: »heiliger« (dosłownie »święty«) w pol. tłum. (str. 20.) *ananas*.

Na str. 43. w tekście: »Weil se tut sein, ängsta se sich« (dosł. »Ponieważ są dobre, *boją się*«), w pol. tłum. (str. 35.) »Ponieważ są dobre, *nie bój się ich*«.

Na str. 44. w tekście: »gelt, doas war a Spuck? ich bin a Spuck und du bist a Spuck, de ganze Welt iis a Spuck, nischt weiter« (dosł.: »prawda, że to był *upiór*? ja jestem *upiozem*, ty jesteś *upiozem*, cały świat jest *upiozem*, nic więcej), w pol. tłum. (str. 35.): »widzisz *to plunięcia nie warte!* ja *nie wartym* (sic!) *plunięcia*, ty i cały świat — *wszystko plunięcie, nic więcej*«.

Na str. 45. w tekście: »lass dein phantastisches Gemüte nicht überlaufen wie einen Milchtopf! glaube nicht steif und fest an alles, was nicht wahr ist, und laufe nicht einem fliegendem Spinnewebe« (dosł.: »nie pozwól twojemu fantastycznemu umysłowi *wykipieć*, jak garnkowi z mlekiem, nie wierz pewnie i niezbiecie w to, co *nie jest prawdą i nie biegać za latającą pajęczyną*«), w pol. tłum. (str. 36): »nie daj się *przewrócić* twej fantastycznej duszy, jak garnkowi z mlekiem, nie wierz we wszystko pewnie i niezbiecie, *co jest prawdą i nie goń jak babie lato*«.

Na str. 47. w tekście: »vorn einen blonden Knoten gemacht« (dosł. »z przodu zrobiła mi jasny węzeł«), w pol. tłum. str. 38: »całego mnie rozplamieniając«.

Na str. 53. w tekście: »Nie Michel, hab ich dort eine gesehen« (dosł.: »*nie* Michasiu, *nie widziałam tam ani jednej*«), w pol. tłum. (str. 43.): »*Nie*, Michaś *jedną tylko widziałam*«.

Na str. 66. w tekście: »die Welt um uns her, die es (odnosi się do »Tierchen«), eingeschränkt in sein Bereich, nichts zu fassen vermag« (dosł.: »naokoło nas świat, *którego ono* (zwierzątko), *ograniczone w swoim obrębie, nie może objąć*«), w pol. tłum. (str. 55.): »w koło nas świat, *ograniczony w swoim obrębie, a niedający się uchwycić*«.

Na str. 71. w tekście: »statt eines sind ihrer zweie geworden« (dosł.: »*zamiast jednego jest ich dwoje*« — odnosi się to do przybycia nie tylko Pippy, ale i Hellriegla), w pol. tłum. (str. 60.) odnosi się to do dyrektora i brzmi: »*zamiast jednego stało się teraz dwoje ludzi z pana*«.

Na str. 81. w tekście: »wenn einer aus dem Hafen ist« (dosł.: »jeżeli ktoś *wyplłynął* z portu«), w pol. tłum. (str. 68.): »kto port *wyminął*«.

Na str. 84. w tekście: »verwünschtes Futteral« (dosł.: »*przeklęty futerał*«), w pol. tłum. (str. 71.): »*wymarzony futerał*«; na tejże stronie w tekście: »Wo ist Pippa«, (dosł.: »Gdzie jest Pippa?«), w pol. tłum.: »*Co jest Pippa?*«

Na str. 86. w tekście: »immer nimmt sie der Schlaf dir aus der

Hand« (dosł.: »zawsze zabiera ci ją z ręki sen«), w pol. tłóm. (str. 72): »ona zawsze snu cię pozbarwia«.

Na str. 94. w tekście: »Hier rast der giftige Zahn« (dosł.: »tu szaleje trujący ząb«), w pol. tłóm. (str. 79.): »tu spoczywa trujący ząb«.

Na str. 102. w tekście: »froh sein mit den zu Tode Betrübten« (dosł.: »wesołym być z zasmuconymi na śmierć«), w pol. tłóm. (str. 87): »wesołym być ze smutkiem aż do śmierci« (!!).

Na str. 106. w tekście: »man könnte fast glauben, in einem Traume zu sein« (dosł.: »możnaby prawie uwierzyć, że jest się we śnie«), w pol. tłóm. str. 90.): »trudnoby uwierzyć, w śnie będąc«; na tejże: »rastlos« (dosł. »niestrudzony«) tłómaczy się przez »behradny«.

Na str. 108. w tekście: »das Lied von den Tauben singe ich« (dosł.: »śpiewam pieśń o głuchych«), w pol. tłóm. (str. 92.): »pieśń śpiewam o gołębiach« (!!).

Oto tylko najgłówniejsze *fauæ pas* spolszczonej Pippy. Lecz już z powyższych przykładów wynika chyba jasno, że tłómacz »Pippy« nie posiada najprymitywniejszej nawet znajomości języka niemieckiego i wskutek tego zniekształcił tłómaczeniem swoim tekst oryginału ze szkodą autora, ze szkodą publiczności. Takich rzeczy czynić nie wolno i surowo je zganić należy, by na przyszłość jakaś inna Pippa nie tańczyła na deskach teatru polskiego w podobnych epilepsyach.

Stanisław Dzikowski.

Od Redakcyi.

Dział „Zapytań i odpowiedzi“ musieliśmy odłożyć do numeru następnego.

Na ogólne życzenie

przedłużamy do końca stycznia r. 1907.niżenie ceny roczników II—V.,
dodając do nich i rocznik VI. (za K 2, rs. 1).

Po upływie stycznia

cena roczników wszystkich będzie znacznie podwyższona.

Przedruki w całości lub w części dozwolone tylko z podaniem źródła.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Roman Zawiliński.**

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.